

Współczesna wojna stuletnia o charakterze religijnym.

Wojny religijne znamy najczęściej z lekcji historii. Zwykle kojarzą nam się z wyprawami krzyżowymi. Przy tych wyobrażeniach jesteśmy tak zafiksowani na średniowiecze, że nie potrafimy dostrzec trwającej współcześnie wojny religijnej, w którą - chcąc nie chcąc - sami jesteśmy mniej lub bardziej wplątani. Jest to bez wątpienia wojna, którą w ten czy inny sposób finansujemy. Nie? Ależ tak. Zaraz to dokładnie wytłumaczę.

Dziecięcy zespół muzyczny „Arka Noego” wyśpiewuje w rytmie reagge biblijną historię, jak to Sara, żona Abrahama w podeszłym wieku zaszła w ciążę i urodziła Abrahamowi syna Izaaka, którego „potomstwo będzie tak liczne, jak gwiazdy na niebie”. Ta historia biblijna nie jest jednak do końca wyśpiewana przez dzieci. Autor słów zapomniał o tym, że Abraham miał jeszcze drugą niewiastę, niewolnicę o imieniu Hagar, z którą doczekał się syna Izmaela, którego potomstwo miało być również tak liczne, ile gwiazd na niebie. Tyle biblijna historia. Dzisiaj wiemy, że z potomstwa Izaaka wyrosły plemiona Izraela, a z potomstwa Izmaela plemiona arabskie.

Owa historia traktowana przez jednych dosłownie, przez innych jako metafora a jeszcze przez innych jako bajka, została zapewne potraktowana zupełnie po macoszemu jako nieistotny epizod, gdyby w czasach współczesnych potomkowie Izaaka i Izmaela nie popadli w konflikt. Wydaje się, że konflikt ten jest i będzie dominujący w najbliższych latach lub nawet dziesięcioleciach a może i w całym XXI wieku, tym bardziej, że obserwujemy, jak wojna ta stale się zaostrza i dołączają do niej coraz to chętniej kolejne państwa, które na pozór, ani z religią, ani z Biblią nie mają wiele wspólnego.

Mniej więcej od połowy średniowiecza, gdy szczepy Izaaka i Izmaela pogrążyły się w letargu, w świecie Okcydentu obserwujemy wzrost nowej jakości polegającej m.in. na stopniowym oddzieleniu religii od polityki, co dało nam współcześnie model państwa laickiego. Ten model państwa podpira się nawet niekiedy biblijnym stwierdzeniem „Oddajcie cesarzowi to, co jest cesarskie, a Bogu to, co boskie”. Cywilizacja Okcydentu różni się m.in. tym od cywilizacji Orientu, że w Okcydencie sprawy państwowe i religijne są stricte rozdzielone, podczas gdy cywilizacja Orientu rozdziału takiego w ogóle nie uznaje. Te dwa systemy wartości o profilu misjonarskim stoją do siebie w pewnej konfrontacji. Z jednej strony Okcydent usiłuje nawracać świat na porządek laicki, a z drugiej strony orient nawraca świat laicki pukając do naszych drzwi z Koranem w rękę.

Odnosnie wydarzeń na Bliskim Wschodzie jesteśmy informowani od dziesięcioleci na bieżąco. W sumie można się zapytać: co to ma z nami wspólnego, te wszystkie waśnie i baśnie oddalone kilka setek lub tysięcy kilometrów od nas tu w Europie, czyli Okcydencie? Izrael został założony w 1948 roku i do dzisiaj ma zapisany w statucie charakter państwa laickiego, jaki znamy w naszym Okcydencie. Różni się jedynie tym od innych państw Okcydentu tym, że prowadzi nieustanne wojny. Do większych sukcesów militarnych Izraela należy sześciodniowa wojna w roku 1967, którą śmiało możemy zaliczyć do wojen religijnych podobnie jak wyprawy krzyżowe lub wojna trzydziestoletnia zakończona podpisaniem Pokoju Westfalskiego w 1648 roku. Pomimo laickiego charakteru Izraela, motywacja religijna jest nie do pominięcia. Gdy prezydent Francji Mitterrand w 1982 w czasie wizyty państwowej wzywał w Knesecie do pojednawczego podejścia wobec Palestyńczyków, Menachem Begin ówczesny premier Izraela odparł: „To jest kraj naszych ojców, kraj przymierza, który nadał nam Bóg. Będąc jeszcze małym chłopcem w polskim Brześciu Litewskim, mój ojciec modlił się wraz ze mną: następnego roku w Jeruzalem.” (Cytat za Peter Scholl-Latour, Zwischen den Fronten, Propzläen Verlag, Berlin, 2007, str. 145). Zapewne wielu Izraelczyków zdziwiłoby się dość mocno słysząc tę niezbyt znaną, ale oficjalną wypowiedź premiera państwa bądź co bądź laickiego. Można powiedzieć, że od tamtego momentu nastąpił zwrot w motywacji wojennej. Wojna sześciodniowa nabrała charakteru religijnego. Również i ze strony potomków Izmaela w tym samym czasie nastąpiła radykalna zmiana i powrót do islamskich

korzeni, po tym jak okazało się, że struktury społeczne państw Orientu o profilu narodowym zaczerpnięte ze świata Okcydentu nie zdały egzaminu. Od tego czasu wśród potomków Izmaela usłyszeć można nowe podejście: „W islamie leży rozwiązanie”.

Nie trzeba być ekspertem, by zauważyć, że trwający od szeregu dziesięcioleci konflikt terytorialny pomiędzy potomkami Izaaka i Izmaela, zamienił się w wojnę religijną. Po stronie potomków Izaaka stoją Stany Zjednoczone, u których wprawdzie w prawodawstwie znajdziemy odniesienia do Biblii, jednakże sprawy religijne jak i państwowe są od siebie oddzielone. Wypada więc zapytać: co powoduje, że państwo o charakterze laickim angażuje się w konflikt religijny, po jednej ze stron? Przy czym - co warto zaznaczyć - od kilku lat, a szczególnie po zawaleniu się wież World Trade Centre w konflikt religijny potomków Izaaka i Izmaela zaangażowały się kolejne państwa o charakterze laickim, które przy innych okazjach dostają alergii, gdy usiłuje się choćby trochę pomieszać ze sobą porządek religijny i państwowy. Z jednej strony analizuje się szczegółowo wypowiedź każdego dostojnika kościelnego, czy aby swą wypowiedzią nie przekroczył swych kompetencji jako osoba duchowna i nie miesza się za bardzo w bieżącą politykę, a z drugiej strony wysyła się z tak zwaną misją pokojową całe szwadrony bojowników, mających wziąć udział w wojnie religijnej. Czy jest to bezgraniczna ślepotą czy hipokryzją, bo nie wiadomo jak to nazwać, zwolenników koncepcji państwa laickiego?

Zawalenie się wież World Trade Centre jest być może jądrem sprawy. Jednakże dokładne wyjaśnienie przyczyn i przebiegu wydarzeń oraz związanych z tym wielu zagadek wydaje się być obecnie niemożliwe. Przy czym udzielenie odpowiedzi na tę zagadkę pomogłoby być może przybliżyć cel i sens zaangażowania się kolejnych państw laickich w stuletnią wojnę religijną.

Gdy rozpoczęła się akcja wojskowa Busha II juniora pod kryptonimem „Iraqi Freedom” w Polsce przy władzy była akurat frakcja postkomunistów, nieukrywająca swego negatywnego stosunku do religii przynajmniej w polityce. Dygnitarze dawnych komunistów przefarbowanych na socjaldemokratów chętnie wybierali się z wizytą do Jana Pawła II i owszem, aby się sfotografować z papieżem Polakiem, no i aby zaprezentować swój otwarty na świat światopogląd świecki. Wszystko to po to, aby fotkę z papieżem Polakiem opublikować w prasie, najlepiej w Gazecie Wyborczej na pierwszej stronie. Dziwnym trafem te same ugrupowanie, gdy Bush II junior wywodzący się ze środowisk fundamentalistów chrześcijańskich dał znak do ataku, dało nakaz, aby biedne państwo polskie od razu wyasygnowało na to odpowiednie środki, aby wziąć udział w wyprawie na innym kontynencie. Zaangażowano się w konflikt zbrojny w sytuacji, gdy niektórzy eksperci wojskowi wskazują, że w razie ewentualnego zagrożenia Polska nie byłaby w stanie obronić swych granic. Ugrupowanie postkomunistyczne jak tylko usłyszało hasło ropy i wyczuło nosem, że można by zarobić na tym kasę, dało się wrobić w wojnę religijną. Takiego podejścia ugrupowania świeckiego nie mogę w żaden sposób wytłumaczyć. Czy ma ktoś na ten temat jakąś teorię? Oczywiście z ropy nic nie wyszło i żaden tankowiec nie wypłynął z Basry do rafinerii w Gdańsku. Poza kilkoma aferzystami nikt na „Iraqi Freedom” nie zbił kokosów, a rachunek za taką wyprawę krzyżową - by się posłużyć słownictwem Saddama Husajna - zapłaciło społeczeństwo w większości o profilu katolickim podobnie jak w średniowieczu, kiedy to katolicy również finansowali podobne przedsięwzięcie. Historia jakby się powtórzyła, ale tym razem nie za sprawą środowisk katolickich, lecz laickich lub tzw. oświeconych. Mogłoby się wydawać, że gdy fundamentalista chrześcijański Bush II zawoła do boju na islam, od razu znajdzie zwolenników w obozie katolików. A stało się zupełnie odwrotnie, wsparcie znalazł bez wątpienia, ale w obozie zwolenników państwa świeckiego, które co śmieszniejsze zaatakowało arabskie państwo świeckie. Irak Saddama Husajna - jak na warunki orientalne - był państwem wyjątkowo laicystycznym, a Saddam Husajn osobiście zwalczał wszelkie objawy fundamentalizmu islamskiego. Saddamowi wiele można było zarzucić, ale nie dwóch rzeczy: terroryzmu i fanatyzmu religijnego. Casus belli stanowiły instalacje atomowe, których nie znaleziono do dzisiaj. O co więc chodzi w tej misji pokojowej, w której Polska podobnie jak wiele innych państw świata tak bardzo się zaangażowała?

Jeżeli Bush II istotnie walczył z terroryzmem, to musiałby raczej walnąć w Libię Kadafiego, chociażby w taki symboliczny sposób jak zrobił to dawniej Reagan bombardując w latach 80-tych jakieś tam instalacje. Dowody terrorystycznej działalności Kadafiego o wiele łatwiej wyszukać niż instalacje atomowe w Iraku. A jeżeli ropa byłaby kością niezgody i dlatego musiano by wywołać wojnę, to i na rzecz wojny z Libią znalezione by dobre argumenty. Libia ma również nafty pod dostatkiem. Dlaczego więc walnięto w dawnego sprzymierzeńca, przywódcę państwa laickiego, walczącego zbrojnie m.in. z Republiką Islamską będącą od czasu obalenia Pahlawiego wrogiem numer jeden Stanów Zjednoczonych, a nie w zaangażowanego w terroryzm i posiadającego równocześnie bogate złoża ropy Kadafiego? Wydaje mi się, że w wyprawie pokojowej do Iraku nie rozchodzi się ani o walkę z terroryzmem, ani o ropę, tylko o coś zupełnie innego. Ponieważ Saddam Husajn nie zdał egzaminu i nie pokonał fundamentalizmu szyickiego w Iranie, tylko wojnę z Iranem o mały włos by przegrał, gdyby państwa Okcydentu go w ostatniej chwili dodatkowo nie dozbroiły, zmieniono taktykę wobec tego regionu, gdy okazało się, że konwencjonalną wojną Islamskiej Republiki Iranu pokonać się nie da. Co gorsza niektóre środowiska poczuły się zagrożone. Iran zaczął eksportować swą rewolucję do Libanu i jeszcze dalej, gdzie się właściwie tylko da. Nową taktyką walki z islamem okazała się misja pokojowa, tym razem przy pomocy „Iraqi Freedom”, dzięki której odgrzebano konflikt, który Saddam Husajn jako przeciwnik fundamentalizmu miał pod kontrolą. Jest to stary konflikt wśród potomków Izmaela mający swe korzenie w walce o następstwo sporu o władzę po śmierci kalifa Alego, który spowodował rozłam na szyitów i sunitów. Saddam Husajn miał swych podwładnych, nie licząc Kurdów, głównie sunitów i szyitów w stosunku mniej więcej fifty fifty i zdawał sobie sprawę, że wszelkie konflikty na tej linii, a przede wszystkim import rewolucji islamskiej to zagrożenie dla niego samego. Saddamowi Husajnowi wydawało się, że w ten sposób będzie naturalnym sprzymierzeńcem państw laickich Okcydentu, a przede wszystkim Stanów w obliczu zagrożenia ze strony Republiki Islamskiej. Istotnie tak było przez całe lata. Saddam Husajn nie zauważył jednak, że za czasów Busha II zmieniły się priorytety polityki w wojnie religijnej, a jego samego postanowiono poświęcić na ołtarzu demokracji. Zauważono bowiem, że wzniecenie konfliktu religijnego pomiędzy szyitami i sunitami w Iraku jednoznacznie osłabia potomków Izmaela w wojnie stuletniej z potomkami Izaaka. Mam pytanie: Czy jest to prawidłowa odpowiedź odnośnie sensu tej działalności pokojowej, a w zasadzie udziału w wojnie religijnej, którą naszą codzienną pracą współfinansujemy, i w którą nas wrobiło areligijne ugrupowanie postkomunistów ?

Ale na samych postkomunistach sprawa się nie kończy. Mamy premiera Donalda Tuska, który bardzo nas przeproszał za dziadka, który walczył z komunizmem po niewłaściwej stronie frontu. Przeprosza za co ? Przeproszać to można za własne winy, a nie cudze. Co za wstyd. Dziadek w Wehrmachcie, podczas gdy koledzy z klasy wychowali się na „Czterech Pancernych”, filmowej epopei narodowej, gdzie główny bohater serialu Janek mówi, że trzeba walczyć ze „szkopami”. Wydawałoby się, że kariera skończona. Ale jednak nie. Propaganda propagandą, ale każdy rodak dobrze wie to, czego - udaje, że - nie wie rodzimy polityk. Dziwnym trafem dobrze zorientowany jest w tej sprawie każdy polityk tzw. byłego imperializmu, wie on mianowicie, gdzie od wieków znajdują się pokłady surowca zwanego mięso armatnie (nazwijmy to z angielska human resources, bo brzmi to o wiele humanitarniej). Nie za Bogu ducha winnego dziadka winien więc przeproszać Tusk, lecz za coś zupełnie innego. Konkretnie za to, że jako historyk nie potrafi wyciągnąć wniosków z lekcji historii i zasłania się niewiedzą. Czy o dziadku wiedział lub nie wiedział, lichy wie, to nie ma znaczenia. Jako Kaszub słyszał na pewno nie raz opowieści regionalne starszyzny i pewnie też widział zdjęcia z pobliskiego Danzing 1945. Przytoczę więc anegdotkę z Górnego Śląska, która pokazuje, jak przekazywana jest historia rodzinna. Kolega mój opowiadał, jak razu pewnego oglądał program telewizyjny na temat bitwy o Anglię. W czasie oglądania w dyskusję włączył się jego ojciec: „Nosz onkel tyż tom lotoł”. „A co był w Dywizjonie 303 ?” pyta z zainteresowaniem kolega. „Nie, na messereschmittach lotoł” odpowiada ojciec. Mogę uzupełnić z innych opowiadań, że taki onkel będąc pilotem miał z pewnością podgrzewane elektrycznie buty. Kto z nas posiada takie buty na zimę ? Ale nie o buty tutaj chodzi, ale o mięso armatnie, pardon,

human resources. Do niedawna human resources u nas nigdy nie brakowało.

Oczywiście Donald Tusk jako historyk i będąc już premierem nie wyciągnął z takich historyjek żadnych wniosków, które pewnie opowiada co drugi Kaszub. Przeprasza wprawdzie za dziadka, czego czynić nie musi, robi żal za grzechy, ale z tym postanowieniem poprawy jest dość kiepsko. Dlatego do premiera Tuska razu pewnego dzwoni bez obciachu prezydent Obama, który jak każdy Amerykanin thinks positive. Ta tajna rozmowa obu demokratów wyglądała przypuszczalnie następująco:

- „Słuchaj Donald, mam dla ciebie dwie dobre wiadomości. Rezygnujemy u was z tarczy, by nie drażnić niedźwiedzia, a w zamian potrzebujemy human resources.”
- „Wiesz co Barack, ostatnio przehandlowaliśmy 2 mln Slavs i dlatego mamy dobre stołki w Brukseli. Na bezwizowy transfer do Ameryki się nie zgadzamy, bo nam wypłyną human resources za friko.”
- „Donald, my w wolnym świecie już nie handlujemy niewolnikami. Jeżeli stosujemy tortury to poza granicami imperium. I teraz potrzebujemy human resources do Afganistanu, 500-600 sztuk tym razem”.
- „Ależ nie ma sprawy, Barack. Tylko nie myl pojęć: Slavs and slaves, bo nas jeszcze niezależne media nakryją.”
- „Niezależne media to już moja sprawa. Akurat planujemy zaostrzenie kontroli nad internetem, aby zwiększyć nasze wspólne bezpieczeństwo.”
- „O.K.”
- „No to pa.”

Jak pisał niegdyś Sławomir Mrożek „jesteśmy Murzynami, tylko, że białymi.” i pewnie dlatego tak dobrze Tusk rozumie się z Obamą. Z podobnym problemem do Joschki Fischera, będącego - zgodnie z definicją Mrożka - białym, ale nie Murzynem, piastującym wówczas stanowisko ministra spraw zagranicznych Niemiec, którego przodkowie - podobnie jak premiera Tuska - też walczyli z komunizmem, ale po niewłaściwej stronie frontu, zgłosiła się ekipa Busha II, aby wesprzeć ich w „Iraqi Freedom”. „Joschka przecież jesteś quasi pacyfistą i pokój jest ci bliski sercu, chyba nie odmówisz sprzymierzeńcowi w potrzebie ?” Joschka, którego o wiele niecnych spraw można podejrzewać, ale nie o fanatyzm lub fundamentalizm religijny przybrał się w włośnie i udał się do Jana Pawła II, następcy krzyżowców, ale nie po to by zrobić sobie z nim fotkę, jak to mieli w zwyczaju polscy postkomuniści, ale po to by ten mu wytłumaczył, co to jest wojna religijna. JPII zapewne opowiedział mu w skrócie następstwa wypraw krzyżowych, włącznie z tym jak to nadgorliwi krzyżowcy przy okazji spalili Konstantynopol będący w rękach ortodoksów, czego do dzisiaj III Rzym nie może zapomnieć I Rzymowi. Po takich rekolekcjach wydali wspólne oświadczenie, a na prośbę ekipy Busha, w przeciwieństwie do świeckich polskich postkomunistów, na wyprawę w ramach „Iraqi Freedom” odpowiedział Joschka jednoznacznie „Nein”.

Faktem jest, że nami rządzą ideologiczni spadkobiercy czwórki z Rudego 102, którzy zawsze znajdowali się po właściwej stronie frontu, czyli po stronie silniejszego, a dokładniej powiedziawszy tam, gdzie silniejszy brat sobie zażyczył. Za czasów Moskwy wyprawa do Pragi, ależ proszę nie ma sprawy. Miało to niegdyś ze mną taki związek, że silniejsi armią bracia wybierając się „tamoj” i robiąc przystanek u nas w gminie, blisko czechosłowackiej wówczas granicy, zostawili jeden granatnik, który leżał sobie spokojnie latami na Sztambrochach (z niem. Steinbrüche – kamieniołomy), aż dwóch moich kumpli ich osobiście rozbroiło. Afera była co niemiara, bo nie tylko uprzedzili nasz krajowy dywizjon stacjonujący obok w mieście, ale i narobili huku we wsi, a przy okazji trochę się pokaleczyli. Ówczesne massmedia jeżeli coś na ten temat wspomniały, to w takim tonie, że znów wyszło na „szkopów”, a czterej pancerni jak zwykle byli w porządku. Tym razem tak to było, że przez całe lata nie byli w stanie rozbroić sowieckiego granatnika, a do Pragi spakowali się w dwie doby. Podobnie za czasów Busha II i Obamy. Jeden

telefon i cała dywizja human resources spakowana. Ochotników nie brakuje. Nie wiem, kto w jakich obraca się środowiskach, ale mnie się coraz to częściej zdarza następujący dialog: „A jak tam syn ? - pytam. „Syn ? Na misji pokojowej w Afganistanie”. Albo inny dialog: „A jak tam córka ?” - pytam. „Dziękuję, jeszcze dobrze. Na misjach pokojowych w Iraku”. Gdziekolwiek się udam napotykam na rodziców misjonarzy. Przyznam, że co do tej opcji miałem nie tak dawno temu trochę inne wyobrażenia. Bo z tym misjonowaniem to miało być tak. Jeszcze przed Anshlußem wielu duchownych, niektórzy w poważnych katolickich czasopismach, inni w prywatnych rozmowach, zapowiadało krucjatę i misjonowanie upadłego moralnie Zachodu. I właśnie po to jest potrzebny Anshluß dowodzili. Mam dowody na papierze, bo nawet mi wydrukowali w niskonakładowej prasie, że miałem co do tych misji poważne wątpliwości i nazwałem je „wyprawą z motyką na księżyc”. Dzisiaj w niecałych sześć lat po Anshlusie, gdy dotarła do Polski zgnilizna z Zachodu, a do seminariów załamka demograficzna, można zauważyć, że zagadnienie to jakby zginęło z pola widzenia misjonarów. Zwolennicy urawniłowki są pewnie bardzo zadowoleni, bo wprawdzie w sprawach finansowych miną jeszcze całe dziesięciolecia zanim nierówności Wschód-Zachód się wyrównają, za to w sprawach moralnych w niecałe sześć lat jest już prawie po równo. Jednakże, co do innego rodzaju misji, tzn. misji pokojowych, nie trzeba być prorokiem, by przepowiedzieć, że wycofanie się z nich nie będzie już zadaniem tak prostym i na zgubionym granatniku w gminie się nie zakończy. Wyprawa do Iraku miała być czymś w rodzaju blitzkrieg, a trwa już dłużej niż II wojna światowa. Wprawdzie dyktator Saddam Husajn w wielu swych kalkulacjach dość mocno się przeliczył i na koniec zawiodła go intuicja polityczna, ale w jednym to chyba się nie mylił. Nazwał Busha II i jego sprzymierzeńców szykujących się na Irak krzyżowcami, co wywołało ironiczny uśmiech w świecie Okcydentu. Argument ten nie przemówił do nikogo. Uznano to jako kolejny trik krwawego dyktatora, aby skupić wokół siebie zwolenników przed kolejną z licznych wojen, z których uchodził zwykle obronną ręką i to niekiedy przy pomocy samych Amerykanów. Co będzie jednak, gdy się okaże, że w tym przypadku dyktator miał akurat rację. W końcu wiemy, że wyprawy krzyżowe trwały ze sto lat i do dzisiaj niektórym odbijają się czkawką. Saddam Husajn już raz miał rację, bo istotnie instalacji atomowych w Iraku nie znaleziono, ergo nie ma casus belli, co znaczy, że cała wojna od samego początku jest nielegalna. Nic gorszego tzw. wolnemu światu przydarzyć się nie mogło w tym konflikcie religijnym, który jeszcze się nie określa jako III wojna światowa.

Po zakończeniu się konfliktu Wschód-Zachód wielu futurystów zastanawia się, jaki powstanie nowy podział świata, jaki konflikt go ponownie podzieli: Północ-Południe, a może biedni i bogaci, być może powstaną wojny o podobno kończące się surowce naturalne, powstaną katastrofy klimatyczne, naturalne itp. itd. i jeszcze nie wiem jakie horrory. Wszyscy ci nasi prorocy nie dostrzegają, że przynajmniej od 1967 roku tkwimy w początkowo lokalnym, a po zawaleniu się wież World Trade Centre w coraz to bardziej globalizującym się konflikcie religijnym. Jest to oczywiście wariant optymistyczny, bo ustaliłem ad hoc, że stuletnia wojna religijna rozpoczęła się w 1967 roku i z takiego wyliczenia wychodzi, że jesteśmy już gdzieś w połowie. Co będzie jednak gdy wprowadzimy inną periodyzację i uznamy, że wojna religijna rozpoczęła się 11.09.2001. Znaczy to, że dopiero jesteśmy na jej samym początku. Wojna religijna jak się wydaje wychowanym na postępowym sposobie myślenia członkom współczesnego Okcydentu, mogła się pojawić w głębokich mrokach średniowiecza, jak powiedzmy w czasach znanych nam z wypraw krzyżowych. Ale w epoce postmodernistycznej, podbudowanej latami oświecania, w świecie, gdzie jak się wydaje, cierpi się na obojętność religijną, wszystkim się wydaje, że może nam grozić każda wyobrażalna plaga, ale nie wojna religijna.

Maciej Jachowicz